# DODATEK LITERACKI
## DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 30 kwietnia 1922 r. | Nr. 9.

## Na fujarce.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Gadacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?...
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi,
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?

Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole,
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...
Strachby było z tego siewu
Żąć żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo.

Przyjdzie słonko, na niebiosy
Wschodzące,
I wybije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyschło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże.

Marja Konopnicka.

## ZMARTWYCHWSTALI.

(Opowiadanie starego górnika).

Dawniej, bracia, to tam nikt nie słyszał ani o elektryczności po kopalniach, a maszyny to dopiero ten i ów na próbę zaprowadzał. Ale o wypadek nieszczęsny to i wtedy nie było trudno, tak, jak i dziś.

Raz, pamiętam, było to w Wielką Środę rano, zebraliśmy się w budzie na modlitwę przed zejściem na dół. Miała to być ostatnia szychta przed Świętami. Po polach nisko tułał się wiatr ciężki, powietrze było parne, od wschodu ciągnęły chmury. Lecz nas mało to obchodziło. Na ziemi może burza szaleć, tam w dole cisza jest taka, że słyszysz, bracie, własnego serca bicie.

Spuściliśmy się na dół. Było nas trzydziestu, ja nad nimi jako sztygar; miejsce nasze znajdowało się na 120 łaszt głęboko. Zbliżyła się godzina przedwieczorna, gdyśmy poczęli naładowane taczki cisnąć do szybu. Właśnie ruszyłem, aby dać znak spuszczenia beczki, gdy jeden z ciskaczy przybiegł zdyszany i ze strachem wyjąkał, że „skarbnik wjechał do szybu i siedzi na ostatnim szczeblu, a z oczu skry mu się sypią".

Fuknąłem na młodzika, żeby nie opowiadał bajek, i idę gankiem dalej. A wtem stanąwszy pod szybem, słyszę lekkie trzaskanie, jak kiedy to drzewo świeże palić się nie chce. Nasłuchujemy (wszyscy już nadbiegli tymczasem) a wtem jeden wystraszony krzyknie, że pewnie buda pali się u góry.

— Głupiś — mówię — stamtąd odgłos dotąd nie dojdzie przecie — i daję znak o beczkę: raz, dwa, trzy; wszyscy zataili oddech i słuchają.

Po chwili słyszymy du, du, du, jedzie beczka na dół, ale znaku nam żadnego z góry nie dają.

— Wszystko dobrze. Do roboty, bracia, — „Szczęść Boże!" — wołam, ale żaden nie ruszył się. Stoją i patrzą. Nareszcie postanawiają wyjść na świat i już chwycił najbliższy za drabinę, (bo wtedy jeszcze o windach nikt nie wiedział i schodziło się w dół po drabinach). Wtem skały kawał spada z góry — usunęli się najbliżsi w ganek, aż tu, Panie Swięty, rrrym! rrrym! huk, łoskot, walą się wszystkie deski ocembrowania na dół przed nasze nogi, a echo tego łoskotu brzmiało długą chwilę po gankach, jako zwiastun nieszczęścia.

— Szyb się zawalił od góry do dołu! Jezu, Jezu, co my teraz poczniemy! — zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego i płakać i włosy rwać z głowy, a niejeden to łbem począł tłuc o skaliste ściany. Aż ja krzyknę:

— Bracia! nie wszystko jeszcze stracone, ratunek jest możliwy, ufajmy w Bogu! Nie dadzą nam zginąć nasi bracia — wtedy się uspokoili cokolwiek.

— Przekopią się przez inny szyb — mówił jeden. — Nie dadzą na zatracenie 30 chłopa — woła drugi. — Już, już są przy robocie — krzyknął trzeci. — Do czwartego dnia mogą się dobić do nas — pocieszał czwarty.

— Pogaście lampki — rzekłem — jedna tylko niech się pali. — I tak zrobili.

Oj, ślimaczym krokiem wlokły się te godziny, cośmy je tam spędzali w bolesnem oczekiwaniu. Przeszedł tak dzień jeden, potem drugi i trzeci a nadzieja co chwilę to błysia nam, to znów gasła. A lampki paliły się i gasły jedna po drugiej, jakby na ofiarę śmierci.

I nikt już nie miał ani chleba kawałka, ani kropli wody lub innego napoju. Tak nadszedł dzień czwarty. Na świecie tam ludzie zabierali się święcić wielką tajemnicę Zmartwychwstania Pańskiego, a my tu...

Ostatnia lampka paliła się nad naszemi głowami, a wszystkich oczy zwrócone były na nią... już gasła... raz jeszcze wzniósł się płomyk, jakby ostatnia nadzieja — i zgasł. I stała się noc wokoło nas... wieczysta noc grobu...

Wtedy to i rozpacz rozpętała się w duszach ludzkich; poczęli bluźnić, przeklinać los, raz po raz któryś śmiechem wybuchnął szyderczym.

Alem ja się opamiętał pierwszy.

— Bracia — rzekłem — módlmy się! Polećmy dusze nasze Bogu, który jeszcze nas wybawić może, jeżeli taka będzie święta Jego wola.

Uspokoili się, ucichli. Padliśmy wszyscy na kolana i głośno począłem odmawiać modlitwy a reszta za mną. Potem też pierwszy prosiłem wszystkich o przebaczenie, jeżelim w czem uchybił. Poczęli brać się w ramiona, żałować i przebaczać sobie nawzajem.

Ulżyło nam godnie w naszym smutku. Siedliśmy około zwalisk szybu i nuż opowiadać a wspominać tych, których zostawiliśmy tam na świecie. Więc ten żonę wspomina młodą, ów dzieci, którymby jeszcze przydała się opieka ojca, kilku było takich, co żenić się mieli po Wielkanocy, więc żałowali dziewuch, które zostaną... i tak snuliśmy długo tę nić, która wiąże zmarłych z żywymi.

Spojrzałem na zegarek, chodził jeszcze: tik, tak, tik, tak, odzywał się niby nasz dzwonek pogrzebowy. Potarłem zapałkę: piąta. Hej, to tam na świecie teraz dzwonić rozpoczną na rezurekcję. Jakem sobie to wspomniał, tak nie wytrzymałem: łzy mi się z oczu puściły i ryknęłem płaczem, jak dziecko. A ci drudzy siedzieli cichutko — sen ich zmożył, z głodu, płaczu i zmęczenia posnęli. I ja też czułem, że sen mi powieki kleić poczyna, gdy wtem, ha, co to? słyszę huk jakiś, jak kiedy strzał odbija się od skały... Nasłuchuję z zapartym oddechem... jeżeli to nie było złudzenie, to doprawdy... ludzie muszą być niedaleko...

— Bracia! — wrzeszczę, co mogę — słuchajcie!

Porwali się wszyscy, słuchają... może dwie minuty przeszły... znowu słychać ten odgłos głuchy, raz, drugi, trzeci...

— Idą! idą! — zawrzaśli i padli na kolana, płacząc.

Wtedy ja znowu krzyczę:

— Nie czas płakać. Wstawajcie i wołajcie co siły: Alleluja! Alleluja! trzeba, żeby nas usłyszeli.

I w tym ciemnym grobie, bracia, rozległ się krzyk, który mógłby zwyciężyć śmierć samą: Alleluja! Alleluja! Potem znów cisza, a po chwili, głucho, jakby gdzieś z końca świata a jednak dla nas tak blisko, słyszeliśmy wyraźnie odpowiedź na nasze wołanie: Alleluja! Alleluja!

Potem już nic, tylko walenie oskardami, wiercenie, grzebanie, a raz po raz okrzyk wesoły, jak kiedy kto już jest bliski celu.

Setne, kochane chłopcy! Przez szyb św. Jana spuścili się i przebijają się do nas przez 4 dni i noce. Nareszcie wśród płaczu, okrzyków, modłów, i podziękowań ostanie uderzenia oskarda... grób się otworzył, światełko zabłysło, które nam się słońcem być zdawało i radosne „Szczęść Boże“ z kilkadziesiąt piersi wyrzucone, odbiło się echem w podziemnych gankach.

W górę teraz. — Dyć przez łzy ani szczebli nie widzę — odzywa się jeden, więc znowu komenda: „Nie płakać! Żeby który nie spadł!

Co to był za widok, bracia, gdyśmy ostatnie szczeble minęli i na świat wejrzeli. Słońce świeciło tak jasno, jakby tem radość swą objawić chciało, skowronki śpiewały w górze, tu cała wioska i z okolicy ludzie zebrani około budy, opodal bractwo kościelne i nasza wiara w odświętnych mundurach, a muzyka grała co siły starą naszą pieśń wielkanocną:

Wesoły nam dzień dziś nastał,<br>
Którego z nas każdy żądał;<br>
Tego dnia Chrystus zmartwychwstał<br>
Alleluja! Alleluja!

Tak, tak, nie zapomnę tego, póki życia, bo przecież to i my wówczas zmartwychwstali! Bóg jest dobry, Jemu niech będzie cześć i chwała!

---

## Chłopski król.

Wiejską drogą szedł dziadek. Siwiuteńki był i słaby widać, bo się kijkiem podpierał i raz wraz przystawał. To ziemi czarnej dotknął i wschodzące źdźbła zboża dłonią miłośnie pogładził, to przy ludziach się zatrzymał, rozmów widocznie ciekawy. Gromadka gospodarzy mówiła o tem, że plon się dobrze zapowiada i wspomniała rok zeszły, kiedy zboże nie urodziło.

— Oj, głód byłby srogi całą zimę, gdyby nie król Kazimierz (Kazimierz Wielki), co ze śpichrzów sandomierskich rozdawał zapasy. Dobry to gospodarz, ojciec prawdziwy.

Tak mówili wieśniacy, a dziadkowi, kiedy słuchał, oczy zabłysły.

Nie odezwał się i poszedł dalej.

Drogą, od pięknego dworu jechał bogato ubrany pan. Gniewny był widać, choć słońce jasno świeciło i pola zieleniły się ślicznie. Dziad zastąpił mu drogę.

— Wspomóżcie, panie!

— Idź precz, dziadu — ze złością odburknął pan. Idź do Kazimierza, niech on ci pomoże, ten chłopski król, co nam panom swobody odbiera, wtrąca się między nas i chłopów, przed swój sąd jadę, o sobie myśleć muszę, żebraku.

Dziad pokornie z drogi ustąpił, ale ktoby mu się przyjrzał uważnie, byłby dostrzegł uśmiech dziwny na jego twarzy.

Do wieczora chodził dziad po wsi. Różnie go przyjmowano: to jałmużną lub dobrem słowem, to niechętnem: „niech Bóg opatrzy“. Widział ciężką pracę i nędzę na przednówku, nasłuchał sie o chciwości sług pańskich, którzy dla dworu zboże i bydło wybierali i smutny, zamyślony przygarbiony jakby od ciężaru trosk, które widział, powędrował dalej, ku miastu, co wesoło migotało światełkami okien na końcu drogi.

Ale widać jakaś nagła myśl mu zaświtała, bo zawrócił, skręcił w bok, pod las, gdzie stała uboga, samotna chatka.

Zastukał do drzwi. Otwarł chłop kościsty, wychudły.

— A czego, dziadku?

Zmęczony jestem, zgłodniały. Dajcie mi choć chleba kawałek, przytulcie na noc, gospodarzu.

— Dziadu! — odparł chłop. — Z duszy-serca radbym wędrowca w dom przyjąć, głodnego nakarmić, ale chleba ostatni kawałek dzieciom dałem na obiad — na wieczerzę już nie było. Mleka niema ani kropelki — ostatnią krowę zabrano mi do dworu. A w izbie ciasno i gwarno — nowy mieszkaniec jej przybył przed chwilą: siódmy synek nam się narodził.

— Lepiej mi będzie niż w lesie, gospodarzu. Wody kubek mi dajcie i kawałek miejsca na ławie!

Marysia, dwunastolatka, podała pić dziadkowi. On się smutno po ubogiej chatce rozglądał i gospodarza rozpytywał, jak żyć potrafią w takiej nędzy.

Tak dobrze, łagodnie patrzył, że dzieci — sześciu chłopaczków i trzy dziewczynki — otoczyły go kołem. Po główkach je głaskał i bajki zaczął opowiadać.

Kiedy się wszyscy kładli do snu, dziad tak gospodarzowi powiedział:

— Nie będę w izbie wam miejsca zabierał, stajenkę macie pustą, tam przenocuję. A za gościnność wam odpłacę: potrzymam do chrztu syna.

Nie bardzo się gospodarzowi podobał ojciec chrzestny — żebrak, ale przystał, bo się obawiał, że nikt nie będzie chciał być kumem biedaka, co żadnego poczęstunku nie da na chrzcinach. Przytem nie chciał dziadka obrażać odmową.

Nazajutrz rano Marysia pobiegła do stajenki powiedzieć dziadkowi „dzień dobry". Dziada nie było.

Już słońce na niebie wysoko stało, już z dzieckiem czas iść do kościoła, ojca chrzestnego nie widać!

Zafrasował się gospodarz i począł gorzko żałować, że posłuchał prośby żebraka.

Aż tu nagle wspaniała karoca na drodze się ukazuje, i o dziwo, staje przed ubogą chatką.

A z karocy wysiada piękny pan, w szaty złotem haftowane przybrany, i mówi:

— Wybaczcie, żem się spóźnił. Teraz żywo do kościoła jechać trzeba. Gdzież mój chrześniak?

Zdumiony wieśniak słowa przemówić nie może. Nic nie rozumie. Z otwartymi z podziwu ustami patrzą dzieci. Wtem Marysia woła:

— Toż to dziadek wczorajszy, tatusiu, takie same miał łagodne oczy.

— Tak, to dziadek, któregoście gościnnie przyjęli, — odezwał się przybyły. — Chodziłem od chaty do chaty, żeby poznać dolę ludu, ażeby wiedzieć, jak mu dopomagać. Synem waszym się zaopiekuję, będę go uczył, aby wyrósł na pomocnika mojego, na sędziego, co sprawiedliwości dla ludu będzie pilnował. Siadajcie, gospodarzu, kumie mój, i wy kumo i ty Marysiu.

W karocy królewskiej — bo ten pan był król Kazimierz — pojechało chłopskie dziecię do kościoła.

A kiedy po chrzie do wsi wrócono, król zwołał gromadę, usiadł pod starą lipą, odwiecznem drzewem, co pamiętało może czasy, kiedy wszyscy w polskiej ziemi równi sobie byli, i sądy zaczął sprawować.

Z zamku krakowskiego przyjechali pisarze, przyprowadzono pana wsi i król sam słuchał skarg, wydał wyrok, by chłopom zwrócono, co im zabrane zostało bezprawnie.

— Chłopskim królem — mnie nazwałeś, mówił do pana: — nie chłopskim jestem ojcem, jeno całego narodu, ale opiekować się muszę i tymi najuboższymi, którym się krzywda dzieje i póki życia, o ich dobro będę się starał. Pracą chłopską żywi się kraj cały, przystoi aby i chłop z głodu nie umarł, aby się cieszyć mógł plonem pola, które uprawia.

## Lasy polskie i puszcze.

Dziwny urok wywierają na ludzi lasy, choć inaczej zapatruje się na nie poeta, malarz i wogóle artysta, inaczej uczony, myśliwiec, rolnik, a jeszcze inaczej kupiec.

W najdawniejszych czasach były ziemie polskie, oprócz Ukrainy, prawie jednym wielkim lasem, roiącym się od dzikich zwierząt, a choć wprawdzie wielka obfitość drzew dowodzi, że kraj przez nie porosły jest dzikim, przecież w pradawnych czasach dostarczały one ludziom środków istnienia, a mianowicie opału, mieszkania i poniekąd ubioru tj. futer z wilków, niedźwiedzi, lisów itp. zwierząt.

Za Piastów i Jagiellonów wytrzebiono znaczną część lasów, mimo to połowa, a może i więcej kraju, była zalesiona. W czasach napadów nieprzyjaciół las stanowił bezpieczne miejsce ukrycia.

Język polski przechował wiele wyrażeń na pojęcie lasu. Drzewa szpilkowe jak: sosna, jodła, świerk, modrzew zwały się borami; liściaste — lasami. Puszczą zowie się bór lub las olbrzymi odwieczny, w którym się chowały takie dzikie zwierzęta, jak np. żubry, niedźwiedzie, łosie itd., a zwykle były także w puszczy barcie pszczelne. Mniejsze puszcze zwały się smugami, pojedyńcze zaś kniejami. Dąbrową zowie się las dębowy, a matecznikiem gęsty las, w środku puszczy położony.

Słynęły niektóre puszcze w Polsce i na Litwie ogromem i obfitością zwierząt; do nich np. należały: puszcza Niepołonicka niedaleko Krakowa, w której często królowie polscy polowali; Zielona przy Ostrołęce, siedlisko Kurpiów; Myszeniecka, Kozieniecka, Kampinoska niedaleko Warszawy, Łomżyńska, Augustowska na Litwie; Polesie owruckie, pińskie, wołyńskie; Kobrzyńska, a nadewszystko Białowieska czyli Białowiejska królowa puszcz polsko-litewskich, położona w powiecie Białostockim, w dawniejszem województwie podlaskiem. Puszcza ta 7 mil długa a 6 szeroka zawiera około 25 mil obwodu. Znajdują się tu drzewa, odznaczające się starożytnością i niezwykłym wzrostem, np. lipy i dęby przeszło 600 lat liczące. Zdarzają się brzozy 100 stóp, a sosny 150 stóp wysokie. Jedyny to może las tak wielki w środkowej Europie i aż do ostatniej wielkiej wojny tak mało tknięty ludzką ręką. Tu jedynie na całym świecie dochowały się żubry. Królowie polscy często zjeżdżali do Białowieży na polowanie. Słynęły niegdyś obszerne lasy świętokrzyskie w Sandomierskiem, ślesińskie za Gopłem i i tucholskie na Pomorzu Przywiślańskiem. W Galicji słynie puszcza Perehińska; jest to właściwie ćwiartka tylko olbrzymiego obszaru leśnego w Karpatach, który się ciągnie od Bukowiny poza Skole i obejmuje 2 miljony morgów. W puszczy Perehińskiej przebywają jeszcze niedźwiedzie, rysie, wilki, żbiki i wspaniałe jelenie z olbrzymiemi rogami.

Dawniej mawiano: „Nie było nas, był las; nie będzie nas, będzie las", ale obecnie już tak nie można mówić, gdyż lasy są coraz rzadsze. Tępienie lasów, jakie się od lat kilkudziesięciu dzieje, wywiera pod każdym względem szkodliwe skutki. Wylewy częste wód, mianowicie w górskich krainach, częste grady i posuchy powstają ze zbytecznego trzebienia lasów.

## Obrona Olsztyna.

Wśród wzgórz wapiennych, na wysokiej skale wznosił się przed wiekami Olsztyn, gród starożytny. Dziś z dawnej wspaniałości pozostały tylko szczątki baszt i łączących je murów, ale te trzymają się krzepko.

Niby rycerz na czatach — stoi baszta stara,
Samotna, ona jedna wichrom się ostała;
Silna, jak pierś praojców, co trwogi nie znała,
Prosta i niezachwiana, jak praojców wiara".

Piękne historyczne wspomnienie wiąże się z Olsztynem. — Działo się to przy końcu XVI wieku Po śmierci Stefana Batorego Polacy radzili nad wy-

borem nowego monarchy, nie mogąc zgodzić się na jedno, bo niezgoda jest główną wadą Polaków, powodem wielu nieszczęść, jakie ich spotkały. I tak jedni chcieli obrać na króla Zygmunta Wazę, królewicza szwedzkiego, syna Katarzyny Jagiellonki — drudzy Maksymiljana, księcia austrjackiego. Większość jednakże była za Zygmuntem, ale zanim tenże przybył z odległej Szwecji, już Maksymiljan wkraczał z wojskiem do Polski. Przyjęto go wszakże nie jako pana — lecz wroga. Odpędzony od Krakowa, ruszył dalej i jeden oddział wojska pod mury Olsztyna skierował.

W Olsztynie dowodził mężny rycerz, Kasper Karliński. Chociaż ojciec licznej rodziny, był jednak osamotniony. Jedni z synów już polegli w obronie kraju, drudzy za niego walczyli. Pozostał tylko Karliński ostatni syn, którego biedny ojciec chciał ocalić i na wieść o zbliżającym się wrogu wysłał dziecko wraz z piastunką, by w sąsiedniej wiosce bezpiecznie znalazło schronienie.

Tymczasem żołnierze niemieccy schwytali dziecko i wymyślili rzecz tak straszną, że na wspomnienie serce ze grozy drętwieje. Oto przystępując do szturmu, popędzili przed szeregami wojska piastunkę z dzieckiem na ręku. Myśleli nikczemnicy, że schowani za takim puklerzem, bezpiecznie dojdą pod mury zamku, że Karliński podda się, bramy otworzyć każe, bo przecież nie będzie miał serca i odwagi strzelać do własnego dziecka.

Ale właśnie, że Karliński miał prawdziwą odwagę, bo gdy puszkarze na straszny widok prowadzonego na rzeź dziecięcią, opuścili ręce, on schwycił lont zapalony i do działa go przysunął.

— Strzelać — zawołał gromko.

Zginęło dziecko, ale Olsztyn ocalał, bo Niemcy, przerażeni nadludzką odwagą Karlińskiego, odstąpili od zamku

Prawdopodobnie zamek wybudowany był przed wiekami przez jakiegoś niemieckiego przybysza, czego dowodzi nawet pierwotna nazwa jego Holstein, czyli wydrążona skała. Tych skał wydrążonych pełno w okolicach Olsztyna. W niektórych odnaleziono szczątki zwierząt przedpotopowych.

## Poszanowanie wieku i zasługi.

Jan Zamojski, sławny hetman polski, pan mądry i bardzo bogaty, wracając z wyprawy wojennej do domu, zatrzymał się we Lwowie; w niedzielę poszedł do kościoła OO. Dominikanów dla wysłuchania Mszy świętej. Gdy się ludzie dowiedzieli, że Zamojski będzie na rannem nabożeństwie w kościele, każdy spieszył, aby zobaczyć tak sławnego męża. Z tej przyczyny był w świątyni ścisk wielki.

Przed samem kazaniem powstał szmer jakiś. Ten i ów obrócił się w tę stronę; spojrzał też i Zamojski, siedzący na miejscu wywyższonem przy wielkim ołtarzu.

Z pomiędzy tłumu wysuwał się starzec, siwy jak gołąb, oparty na kiju, a tak osłabiony, że ledwie szedł. Z twarzy, poznaczonej bliznami, można było odgadnąć, że to dawny żołnierz.

Stanął wprost ambony i słuchał kazania. Ale nikt jakoś w kościele nie ustąpił miejsca staruszkowi. Widząc to Zamojski, dał mu znak, aby usiadł koło niego. Łza zakręciła się w oku starego żołnierza; skłonił się i podziękował, ale nie śmiał usiąść. Wtedy Zamojski powstał, zbliżył się do starca, wziął go za rękę, przyprowadził do ławki i obok siebie posadził.

— Panie! — szepnął wojak — tyś wielki hetman, a ja ubogi starzec, jakże ja mogę siedzieć obok ciebie?

— Wiek i zasługę powinniśmy wszyscy uszanować! Siedź towarzyszu broni — odrzekł cicho hetman i słuchał dalej rozpoczętego kazania.

A. Jeske.

## Rozmaitości.

**Uczta weselna za 20 miljonów marek.** Wspaniałe wesele tureckie, jakiego oddawna nie oglądano, odbyło się w ostatnich czasach w Stambule.

Zgodnie z odwieczną tradycją muzułmanie święcą uroczystość weselną niesłychanie zbytkownemi ucztami. Uroczystości takie, w czasie których stoły biesiadne uginały się pod ciężarem nieprawdopodobnej ilości jadła i napojów, trwały zazwyczaj przez cały tydzień, a sumy, które uczty te pochłaniały, dochodziły do jakichś zawrotnych cyfr. I właśnie z powodu olbrzymich kosztów, związanych z obrzędem małżeństwa, ilość związków małżeńskich zaczęła się znacznie zmniejszać w Turcji. Wobec tego sułtan turecki wydał oficjalny edykt, kasujący te kosztowne ceremonje, chcąc w ten sposób zachęcić swych poddanych do zawierania legalnych związków i do pomnażania ludności.

Z drugiej znów strony wojna i przesilenie ekonomiczne zadały cios śmiertelny tym luksusowym tradycjom.

Do wyjątków należy więc tylko uroczystość weselna, która odbyła się świeżo w Stambule, a która w niczem nie ustępuje dawnym przedwojennym.

Żenił się pewien Albańczyk, przemysłowiec, wielokrotny miljoner, wzbogacony w czasie wojny; na ucztę weselną wydał on sumę, odpowiadającą 20 miljonom marek. Gości weselnych tego nowożytnego Krezusa wiozło 100 samochodów i 400 powozów.

Specjalni heroldowie obwieszczali ludności w mieście, że każdy, ktoby pragnął uczestniczyć w ceremonji weselnej, otrzyma przez siedem dni bezpłatne pomieszczenie i wyżywienie. Łatwo więc można sobie wyobrazić, że apel ten nie pozostał bez echa i że nieprzebrane tłumy ludzi pretendowały do godności gości weselnych. Wszyscy, którzy się zgłosili, rozmieszczeni zostali w olbrzymim lokalu szkoły i w 43 domach, specjalnie na ten okres wynajętych. Rozmaite „dania“ następujące po sobie kolejno w czasie uczty przypominały wspaniałością i wybrednością biesiady z bajek z „Tysiąca jednej nocy“. Dla zgotowania tych potraw spalono podobno 45 metrów sześciennych drzewa.

## Humor i satyra.

**Siła przyzwyczajenia.**

Młodzieniec: — Panie sędzio, przychodzę prosić go o rękę jego córki.

Sędzia: — Czy byłeś pan już przedtem karany?

**Przebaczy — ale nie daruje.**

Żona: Ach mężulku! Czy mi przebaczysz, żem cię opuściła?

Mąż: To, żeś mnie opuściła, ci przebaczam, ale żeś powróciła, tego darować ci nie mogę.